№ 17.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 14 (26) Kwietnia 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

O PISANIU POWIASTEK DLA DZIECI.

Nic łatwiejszego, i znów nic trudniejszego, jak pisać dla dzieci. Kto kocha ten światek malutki, tak bogaty przyszłością, komu wiosna życia upłynęła święcie, uroczyście, pod okiem świątobliwéj matki, zacnego, rozumnego ojca; kto w trwałéj pamięci zachował błogą przeszłość uroczych lat dziecinnych; kto do tego długo, długo pracował dla dobra dziatek, wyrozumiał dobrze ich duchowe potrzeby, nasłuchał się ich serdecznych życzeń, wiosennych rojeń, kto się z niemi zżył niejako, temu łatwo przyjdzie wydobyć z duszy, cicho-drzemiące, złotéj przeszłości obrazki, oblane słońcem minionego szczęścia, promieniejące aureolą świętości. Taki obrazek, w jakiejkolwiek on ukaże się formie, czy w postaci naiwnéj bajeczki, lub zajmującéj a zarazem nauczającéj powiastki, czy w poważnych a ślicznych ramkach naukowéj treści, przykuje do siebie uwagę i serce małego czytelnika, da mu strawę zdrową a pożyteczną, słowem, zwolna kształcić zacznie jego ducha. Taki ciepłem serca otulony obrazek, utkwi w młodym umyśle na długo, a niekiedy na całe życie wywrze wpływ zbawienny. A jeżeli piszący nietylko serce ma ciepłe, ale i umysł wzbogacony rozległą wiedzą, to z pewnością, rzec możemy, pisma jego nie jedno pokolenie dziatek pokrzepią, chociaż serce, co dla nich biło tak gorąco, już dawno ostygnie, bo w pismach jego była miłość gorąca, —życie wieczne.



Dworek myśliwski w Jaworowie (Str. 132).

Dziś, gdy nauka zrozumiałym językiem przemawia do ogółu, kiedy ogarnąć pragnie wszystkie stopnie społeczeństwa, gdy do szczętu nikną zastarzałe przesądy, a nowe życiodawcze systemy wznoszą się na miejscu zbutwiałych rutynowych metod, każdy kto ma ciepło w piersi, zdrowe pojęcie o życiu, zacne dążności, święte wspomnienia młodości, śmiało sięgnąć może po pióro, aby wydobyć z duszy bogate skarby dla dobra dziatek — przyszłych ludzi.

Z uwielbieniem patrzę na mędrców pracujących dla dobra nauki, ale ze czcią schylam czoło przed tymi prawdziwymi mędrcami życia, co wyrozumiawszy jego stronę świętą, zniżyli się do maluczkich by ich z miłością podnieść ku sobie i roztworzyć przed ich zdumionemi oczkami cuda nauki, i przygotować zawczasu życiodawczą strawę dla ich ducha, a tém samém, błogosławiony spokój całego życia i niczém niezrujnowane szczęście w przyszłości.

Ale kto nie posiada klucza do serca dziatek, kto je tylko zna zdaleka, ten pomimo rozległéj wiedzy, nie trafi do ich przekonania, bo nie zdoła przemówić do nich zrozumiałym językiem. Dziecię jest instynktowym znawcą tego wszystkiego co piękne. Uśmiecha się słodko do ślicznéj zabawki i do miłéj twarzy, wdzięcznie zwraca główkę w stronę zkąd je słodki śpiew dolata, z pobożną minką składa rączki, na widok pięknéj głowy Chrystusa, Matki Boskiéj, w błękitnéj szacie, uskrzydlonego aniołka, wyciąga rączki do księżyca,

płynącego wśród przestrzeni błękitnéj, błogo mu, wśród ciepłych promieni słonecznych, igrać na kolanach matki; wszystko zaś niemiłe, drażniące jego delikatne nerwy — składa mu do płaczu różane usteczka.

Im daléj postępuje w lata, tém wybitniéj kształcą się w jego duszy uczucia piękna, dobra, tém goręcéj wzdycha za przypomnieniem utraconego raju, którego poczucie ma w duszy, od chwili, kiedy uśmiechem porozumienia odpowiedziało na uśmiech matki. Dopomódz mu do rozwinięcia coraz wyższéj miłości piękna, odbudować w jego duszy raj utracony, by mu w przyszłości sprowadził niebo na ziemię, oto jest święte zadanie piszących dla dzieci.

Dziecię kształci się miłością rodziców, ich przykładem i słowem, ale dużo czerpie strawy z dziełek pisanych dla niego. Drukowane książeczki mają dla małego czytelnika urok niewysłowiony, a wpływ ogromny.

Lecz, aby powiastka pisana dla dzieci, odpowiedzieć mogła swemu celowi, powinna mieć na względzie: że dostanie się do ręki małego już człowieka, który sercem od kolebki ma ukochać Boga, ludzi, przyrodę, że w całym wszechświecie ma dopatrywać piękności i mądrości jego Stwórcy. — Aby téj piękności i mądrości dopatrzeć mogło samo, musi mieć w głębi piersi poczucie piękna, ukochanie swéj przyszłości — ideał życia. Trzeba więc zawczasu, od lat niemowlęcych, rozniecać w niém te słabo jeszcze błyskające promyczki dyjamentowych już jednakże gry kolorów, stosownymi obrazkami, żywo branymi z życia.

Takie powiastki są najtrudniejsze do napisania, a jednakże takich arcydzielek steoretypowych udało się napisać mnóstwo Hofmanowéj i Jachowiczowi. Takich to powiastek dziecię słuchać będzie z rozkoszą, w słodkiém upojeniu ducha. Powiastki nie mające, że tak powiem, tego namaszczenia duchowego, nie zyskają pochwały, nie doczekają się uznania dziatek. Widziałam raz dziecię zajęte gorliwie czytaniem powiastki, w mniemaniu autora bardzo zabawnéj, w któréj przedstawiał obraz złego dziecka, ale tak niemiło, tak odrażająco, że mały czytelnik ze wstrętem odrzucił niedoczytaną książkę, mówiąc z oburzeniem: „szkaradna powiastka, czytać jéj daléj nie mogę... takich okropnych dzieci nie ma na świecie.“ Mojém zdaniem, lepiéj cnotę przykładem dobrego wpajać w duszę młodą, jak przerażać ją widokiem nędzy moralnéj. Wprawdzie, nie można dziecięciu w samych kolorach różowych świata wystawiać, aby potém zbyt boleśnie nie raniło sobie serca, gdy ujrzy odwrotną stronę medalu życia, ale potrzeba mu złe wystawić bez przesady, a obok niego, na pociechę małego zasmuconego serduszka, piękno moralne, w całéj jego pełni. Pojmował tę gorącą potrzebę ducha maluczkich Stanisław Jachowicz. Jego powiastki i bajeczki, wierszem i prozą pisane, pełne woni kwiatów, błękitu nieba, jakiéjś czystéj atmosfery niebieskiéj, niewysłowionéj prostoty, wielkiéj, szczytnéj moralności, promienieć będą jasną prawdą niejednemu jeszcze pokoleniu. Miléj też, słodziéj—nie można już zaśpiewać dziatkom.

Idealna sukienka dla powiastki, to niby woń dla kwiatka. Z najpiękniejszemi dążnościami napisana powiastka, nie mająca téj cechy estetycznéj, minie się ze swoim celem, bo zbyt przykuwając myśl dziecka do ziemi, nie ukaże mu nieba, zasłoni mu zawczasu marzony ideał.—A dziecię ma w głębi duszyczki swój ideał — ma różowe marzenia, niespokojnie wyrywające się na świat do lotu... tylko marzenia te niby pisklęta, wprawdzie ze skrzydełkami, ale bez piórek jeszcze.... czekają swéj pory do lotu. — Nim ta pora nadejdzie, wskażmy tym przyszłym może orłom, kierunek piękny—pomiędzy niebem a ziemią, by się późniéj nie zabłąkały w locie i nie zwichnęły niedoświadczonych skrzydełek.

Wprawdzie, literatura nasza posiada wiele skarbów dla dzieci. Do tych drogocennych perełek należą bez zaprzeczenia, śliczne powiastki historyczne Hofmanowéj, jak np. *Dworek na Popielu*, a następnie *Pamiętniki Sieroty*, pióra p. Kraków; *Dobra Ciotka*, p. Jachowiczowéj, niektóre z powiastek pp. Pruszakowéj, Prusieckiéj, Szmigielskiéj (Dobieszewskiéj) A. Machczyńskiéj, Borkowskiéj, Janiszewskiéj, Węgierskiéj, Kamockiéj, Belejowskiéj, Anczyca, Chęcińskiego, Gregorowicza,— śliczna powiastka A. Sadowskiéj p. t. *Pierwsze wystąpienie w świat*, i kilka powiastek Osipowskiéj, a szczególniéj *Brzozka*. Myśl téj powiastki prawdziwie filozoficzna, w któréj autorka, w danéj chwili, zwaśnionemu rodzeństwu ukazuje czaszkę ludzką, symbol znikomości. Widok téj saméj czaszki w lat kilkanaście, skłania to samo rodzeństwo, poróżnione o światowe korzyści, do braterskiego uścisku.

Kładę główny nacisk na powiastki, bo ten rodzaj pisma dzieci same bez pomocy starszych, czytać z pojęciem i z korzyścią mogą, bo ten rodzaj pisma najmilszy dla nich, a podobno i największy wpływ wywiera na ich ukształcenie moralne, gdyż samodzielnie kształci ich ducha. Dziecię przyswaja sobie jako pszczółka to wszystko co najmilsze, najpiękniejsze, najszczytniejsze w powiastce, i na swój duchowy pokarm przerabia. O ile dobrze napisana powiastka wpływa na umoralnienie dziecka i na ustalenie jego charakteru, przekonałam się o tém dowodnie sama i licznymi przykładami poprzećbym mogła twierdzenie moje. — Ograniczam się na wyliczeniu kilku.

Jedno dziecię, małéj powiastce, którą dla niego wyłącznie rozsądna a kochająca nauczycielka napisała, zawdzięczało pozbycie się wady skąpstwa. – Drugie, po przeczytaniu mu powiastki, oduczyło się kłamstwa.

Pewnego razu, sama przeczytałam czteroletniemu chłopczykowi śliczną powiastkę Dickensa, umieszczoną kilka lat temu w *Przyjacielu Dzieci*. Nie pamiętam jéj tytułu. Był to, o ile sobie przypominam, rzewny obrazek osieroconego chłopczyka i jego siostrzyczki, ślicznéj i dobréj dzieciny. Po kilku chwilach cichego szczęścia, aniołek śmierci rozłącza na ziemi kochające się sieroty, zabiera biednemu braciszkowi małą siostrzyczkę, i w górnéj, osłoniętą jego śnieżystém skrzydełkiem, ukazuje mu ją krainie. Powiastka napisaną była z całą prostotą, właściwą Dickensowi, ale mały słuchacz zrozumiał piękność jéj strony rzewnéj; schylił główkę i ukradkiem łzy ocierać zaczął. Chciałam mu coś weselszego na pociechę przeczytać; podziękował mi uprzejmie i wyszedł do drugiego pokoju, w którym właśnie jego młodsza siostrzyczka snem aniołków spoczywała. Stanął przy kołysce, pochylił się nad nią i słuchał uważnie oddechu białego, rumianego śpioszka. Po chwili dotknął się drżącą rączką czołka uśpionéj, a gdy dziecię uśmiechnęło się we śnie, i jemu uśmiech niewysłowionéj radości smutną rozweselił twarzyczkę, zaczął wesoło śpiewać uśpionéj, i dopóty ją kołysał, dopóki się nie obudziła.—Mamo! aniołek mojéj siostrzyczki nie weźmie jeszcze do siebie, wyrzekł lękliwie, patrząc na matkę. Powiastka ta wielkie wrażenie uczyniła na chłopczynie, a jednakże nie była napisaną w sposób rozdzierający serce, przeciwnie, jakaś słodka atmosfera otaczała śmierć samą. — To się nazywa umieć pisać dla dzieci.

Przypominam sobie prześliczny opis, pełen prawdy, rzewności i wielkiéj nauki dla dziatek *Instytutu ociemniałych w Bostonie*, tegoż samego autora, umieszczony lat temu już wiele w *Gazecie Codziennéj*. Obraz dziewczynki nieméj, głuchéj i niewidoméj do tego, pełnéj siły, czerstwości ducha i gorącéj miłości dla nauki i tego wszystkiego co szlachetne i dobre, stałby się nie dla jednego dziecięcia, patrzącego na świat bezmyślnie, wielką zachętą do dobrego. — Szkoda że żadne pismo dla dzieci wychodzące, nie umieściło go dotąd w swoich szpaltach.

Wprawdzie, powiastki pisane przez autorów i autorki nasze, czytane są również przez dziatki i mają swoje właściwe piękności, lecz zamało w nich jeszcze zieloności, kwiatów, słodkiéj ich woni, przezrocza wód, jasności słońca, migotania gwiazdek, śpiewu ptasząt, błękitu nieba, muzyki organów i szeptu paciorka. W naszych powiastkach zanadto może życie malowane jest z jednéj strony, zkądinąd bardzo zacnéj—ale czysto realnéj. — Dla młodéj jednakże, pełnéj zapału duszy, potrzeba troszkę kwiatów czarownych, troszkę marzeń wiosennych, czegoś niby z zamków zaczarowanych, grających tak ważną rolę w bajkach, które niegdyś nianki opowiadały dziatkom. Trzeba zawczasu podnieść umysł młody i nie dać zardzewieć w gnuśnéj bezczynności jednéj z najwdzięczniejszych strun jego ducha, by Bogu i ludziom pełną wyśpiewał pieśń.

Oswajając dziecię w powiastce z jego powinnościami, malując mu życie w jego harmonijnéj pełni, wśród czarownego otoczenia przyrody, podniesiemy je czasami do wysokiego poświęcenia i ofiary. Dziecię, ten chętny, mały bohater, w słowie i w chęci, przylgnie całą duszą do takiéj powiastki, bo ono kocha wszystko co wybiega za kres powszedniego życia.

Przypomnijmy sobie sami, z jakim to zapałem czytywaliśmy po nieskończoną liczbę razy: *Małego Henryka*, *Różę na Tanenburgu*, *Robinsona Kruzoe*. Pierwsza i ostatnia powiastka nęciły nas urokiem nadzwyczajności, druga—poświęcenia i ofiary. Żadna podobno z powiastek nowoczesnych nie doczekała się takiéj popularności u dziatek, prócz powiastek i bajek Jachowicza, których trzeciolotnie już dziecię uczy się chętnie i z upodobaniem powtarza. Jeden dotąd Jachowicz doczekał się nieśmiertelności w świecie maluczkich. Piękna to i godna współubiegania się sława.

Z pism peryodycznych *Kronika Rodzinna*, *Bluszcz* i *Przyjaciel Dzieci*, niemałe już na tém polu położyły zasługi. *Gołąbka w orlém gnieździe*—*Wschodzi jak kwiat*, pięknie przetłumaczone w *Kronice*, jako też śliczna, oryginalnie napisana powiastka przez K. Czarnocką p. t. *Kilka kartek z życia młodéj kobiety*, nie sąż to utwory, które czternastoletnia nawet dziewczynka, śmiało do ręki wziąć może?

Co zaś do *Bluszczu*, można powiedzieć, że obfituje w prześliczne, najlepszych dążności powieści. Nie mówiąc już o wyborowym

doborze powieści angielskich na których czele stoi, *Lord Erlistoun*, *Różyczka mojego brata*, a których wartość, kto wie, czy nie podnosi wzorowe, czarowne pióro tłumacza, wspomnę: *Pana profesora* i *Górę Tarłową*. W powieści téj, pięknéj dążności, jaśnieje zielonością miluchnéj oazy, prześliczny obrazek przeszłości, pełen prawdy i życia: *opis domu ojca Anny*.—Obrazek ten, z tłem ciepłém, po mistrzowsku utrzymany w jednym tonie, może śmiało stanąć obok obrazka rodzinnego, genialnéj Gabryeli. — Całość, wyżéj wymienionéj powieści, piękna, w któréj mądrze łączy się idealność z rzeczywistością. *Nierozstrzygnięte pytanie*, niech spocznie w ręku każdéj dzieweczki i niech ją uczyni podobną do Helenki.—Ze smutnego tego opowiadania, pomimo niewysłowionéj rzewności, wieje coś tak słodkiego, błogiego, orzeźwiającego ducha, że mimowoli wstrzymuje łzy gorące, napływające do oczu, i coś uroczystystego budzi w duszy.

Pani Ilnicka, słusznie rzec mogę, stoi obecnie na czele autorek piszących dla młodocianego wieku, a ma ten słodki przywiléj, że powieści jéj i w starszych nawet budzą interes.

Myśl zawsze zdrowa, pogląd na życie jasny, pogodny, śliczne połączenie idealności z rzeczywistością, nigdzie cienia nawet ubiegania się za efektem, do tego styl poprawny, oryginalny, świetny, nierzadko czarujący, nic nie pozostawia do życzenia i zbliża ją do ulubionéj powszechnie *Gabryeli*.

Józefa Żdżarska.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

(Szkic bijograficzno-literacki).

(*Dokończenie*).

Doskonalszym za to, ze względu na budowę, jest drugi podobnéj treści p. t.

POŻEGNANIE KOCHANKI.

Żegnajmy się o luba, sprzeczne wiatry wieją,
Nadchodzi chwila, w któréj wiecznie się rozstaniem;
Już odtąd dzień tęsknotą, długa noc niespaniem,
W zegarze naszych losów, bić będą koleją.

Zdziczeją nasze myśli, serca spustoszeją,
Stępią się blaski spojrzeń, próżném wyglądaniem,
Przygasną ust płomienie, mary całowaniem—
Pożegnajmy się, luba, z sobą i nadzieją!

Nie—przestań, przestań płakać! Mam jeszcze sposoby:
Z moich ust, z twego łkania, piosenkę złożymy,
Skoro zechcesz mię ujrzyć, zanuć płaczu rymy—

Choćbym w ziemi już leżał, porozrywam groby.
Co ja gadam szalony? Marzę jak z choroby..
Tem lepiéj że się tracąc—i rozum tracimy.

Sonet ten, śmiało stanąć może obok genijalnych sonetów Mickiewicza. Do działu liryki należy również zbiór wierszy wielkiéj wartości i wysokiego nastroju poetycznego, zatytułowany: *Trzy struny*.

Na czele utworów z charakterem *opisowym*, stoi piękny poemat p. t. *Zamek Kaniowski* (Warszawa 1828). Osnowa tego poematu jest następująca: Ataman Nebaba, jest najdzielniejszym kozakiem i kochankiem pięknéj Orliki, którą ściga swymi zalotami rządca Kaniowskiego Zamku.

Dumny pan, nie mogąc skłonić upartéj, bo kochającéj dziewczyny, udaje się do podstępu. Brat jéj odbywał czaty nad ciałem wisielca. Oderwany miłosném spotkaniem, złudzony nadprzyrodzonemi zjawiskami, zapomina o swéj powinności—gdy tymczasem wysłańcy rządcy, odrzynają trupa. Według praw wojennych, kozak miał za to odpowiadać życiem. Orlika, dowiedziawszy się o tém, poświęca się dla ocalenia brata i zostaje żoną swego prześladowcy. Straszną była boleść Atamana—strasznie też postanowił ją pomścić. W podaniach ludu złowrogie przepowiednie poprzedzają groźne wypadki. I teraz więc widywano jakąś niewiastę, według jednych obłąkaną, według drugich zaprzedaną mocom piekielnym, która tajemnemi słowy ogłaszała klęskę. Ksenia jest dziewczyną uwiedzioną przez Nebabę, jest ona przytém szaloną, wiedźmą, ścigającą bezustannie wiarołomnego kochanka, przebiegającą miasta i wsie w łachmanach, straszącą zarówno swą ohydną postawą, jak groźnemi wróżbami. Wreszcie zbliżyła się ostatnia chwila krwawego dramatu. Ataman w nocnym napadzie pomścił srogo swą krzywdę i pomszczony — skonał *).

Jest to poemat strasznéj grozy, olbrzymiéj siły poetycznéj, galeryja mistrzowsko kreślonych obrazów, ale obrazów szkicowanych pobieżnie, bez połączenia ich w łącznym, doskonałym ciągu. I dla tego całość przedstawia się jako zbiór, wprawdzie genijalnych, ale luźnie zestawionych fragmentów, jak gdyby mozaika niedobranych i nieułożonych jeszcze kolorów. Szczegóły są w swoim rodzaju drobnemi arcydziełami, ale całość rozbita na te właśnie szczegóły, razi nieforemnością, brakiem wypełnienia.

Drugim utworem, treści czysto opisowéj, jest również niewykończony, choć również genijalny poemat: *Sobótki*. Jest to poetyczny obraz znanéj uroczystości ludowéj, obraz niepełny, szkicowany, ale w swych odłamkach świetny, barwisty. Talent Goszczyńskiego, silny przedewszystkiem w malowniczém obrazowaniu, zdumiewający potęgą, wyrazistością słowa, w kreśleniu widoków natury, w *Sobótkach* doszedł olbrzymiéj skali. Jako dowód przytaczamy opis zapalenia ofiarnego stosu.

Zachód mdléj coraz śniegi hal pozłaca,
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka;
Ale na Wyżni rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy,
Czterech górali głownie rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem upowili,
Podęli razem silnymi podmuchy;
Grają płomyki, jak żądła wężowe,
Wyjrzą co chwila z ogniska paszczęki.
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
Rzuca się błyskiem na sterczące sęki;
Na niższych zrazu czepia swe sztandary,
Oblata kłody, wyziera przez szpary,
A jad pod korę zapuszcza tymczasem!
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo promieniste wstęgi,
I już panuje całéj okolicy.

Uważny czytelnik spostrzeże w tym ustępie, nietylko siłę słowa, ale i ten stopień zdolności opisowéj, który obrazom zdjętym z natury nadaje ruch, wprawia je w akcyą dramatyczną. W téj formie i z témże samém bogactwem szczegółów, prowadzony jest cały poemat.

Ostatnim z tego działu i zarazem najsłabszym utworem jest, *Anna z Nadbrzeża*. Jest to poetyczna powieść z czasów *Jana Kazimierza*. Osnową jednak swoją nie usprawiedliwia zupełnie wyboru tak odległéj epoki. Anna kocha skrycie dzielnego rycerza, którego wypadki krajowe powołały na wojnę. Dręczona niepewnością i tęsknotą, udaje się do staréj wróżki z prożbą, ażeby ta siłą czarów sprowadziła kochanka. W czasie tajemniczego aktu wzywania duchów i gotowania stosownego ziela, zjawia się jakiś dorodny młodzian. Anna z początku widzi w nim ukochanego, a chociaż wkrótce poznaje swoje złudzenie, ulega jednak w części kuszącéj sile zalotów przybysza. Tymczasem ukazuje się prawdziwy kochanek, który całą rzecz wyjaśnia, a mianowicie, że ów młodzian jest jego towarzyszem, że był tylko przez niego podstawiony, dla doświadczenia uczucia Anny, którą, przejeżdżając około domu wróżki, spostrzegli zajętą obrzędem czarów. Obrażona tym żartem dziewica, odtrąca lekkomyślnego kochanka. Oto jest cała treść tego poematu, treść, jak widzimy, dziwaczna, a obok tego w zaniedbanéj formie zawarta.

Oceniliśmy więc, o ile zakres tego artykułu pozwalał, wszystkie większego rozmiaru prace Goszczyńskiego. Nie możemy jednak nie wspomnieć, chociażby tylko wzmianką, o jego przekładzie *Ossyjana* i dwóch utworach z okresu mistycznego, mianowicie: *Boga Rodzica* (1864) i *Robert Djabeł*, dramat w 5 aktach, przekład z Raupacha (1865). Goszczyński był przytém redaktorem pisma humorystycznego p. t. *Pszonka*.—*Pisma* jego razem zebrane wyszły w 3 tomach we Lwowie (1838), w Wrocławiu (1852) i w Lipsku (1870). Należy nam teraz określić jaka jest skala talentu Goszczyńskiego

*) *Zamek Kaniowski* przetłumaczony został przez O. Berkę na język czeski — wyszedł z druku w Pradze w r. b. (P. R.)

i jaki jest ogólny charakter jego utworów. Oto co w téj mierze mówi francuzki pisarz Saint-Vincent: „Goszczyński od najmłodszych lat sztukę uważał tylko za rozrywkę i szukał w niéj dla siebie chwilowego ukojenia. Nie zstępuje on z wysokości sztuki na ziemię, aby oświecić czynność ludzką i opromienić ludzkie namiętności, ale ziemię raczéj i jéj namiętności z całą ich potęgą ziemską, bijące tętnem życia, zbroczone krwią, przenosi w wysokie sfery sztuki, gdzie szuka sam schronienia, ścigany dręczącym niepokojem. Taki jest charakter wszystkich jego utworów.“

Do tych słów, w znacznéj części słusznych, dodać jeszcze należy, że Goszczyński, pomimo całéj głębokości uczucia, pomimo całego bogactwa języka, w żadnym utworze nie wzniósł się na stanowisko skończonego artysty, w żadnym nie stanął jako wzór, tworzący sobie w społeczeństwie szeroki wpływ a w literaturze szkołę. I to także dodać wypada, że oparłszy się głównie na pierwiastku politycznym, rozwijał go po największéj części w formach bezwpływowych, bo w formach filozoficznego fantazyjowania. Wszystkie te jednak rysy, wyrobiły mu w literaturze nietylko odrębne stanowisko, ale także i odrębne bez zaprzeczenia znaczenie.

Al. Św...

DWOREK MYŚLIWSKI W JAWOROWIE.

Jaworów jest miasteczkiem leżącém w Galicyi, w obwodzie przemyskim, liczącém ludności 7,300 dusz. Nie mogło się ono wprawdzie równać z warowną i z przepychem pańskim ozdobioną Żółkwią, ale pomimo to, Jan Sobieski, już jako chorąży koronny, dokładał starania aby je umocnić i ozdobić. Opatrzył więc tedy zamek jaworowski własną armatą, założył przy nim ogród włoski, i podobnie jak później w Żółkwi, myśliwski Haraj, tak i tutaj pobudował sobie na wysokiém wybrzeżu, nad stawem, myśliwski domek, zamiłowany, jak każdy wojownik, w rycerskiéj zabawie łowów.

Jakoż, kiedy skroń chorążego uwieńczyła korona Królewska, zjechał on w r. 1676 do ulubionego Jaworowa i tutaj robił przygotowania do wojny z Turkami. W 1684 r. gościł w tém miejscu czas dłuższy. Tutaj zjechał hr. Montecuculi, poseł hiszpański, winszując Sobieskiemu wyprawy wiedeńskiéj. Tutaj bawiła kilkakrotnie Marya Kazimiera, z dworem swoim — i tutaj to, przed owym dworkiem łowieckim, wiódł król Jan tany, w pierwszéj parze z kowalową jaworowską.

Późniejsze wojny spustoszyły Jaworów, a niedbalstwo starostów, w których posiadanie przeszedł po śmierci Maryi Kazimiery, dozwoliło podupaść jego zamkowi i jego warowniom. Dzisiaj z zamku ledwie ślad jakiś pozostał w okopach i wałach,—tylko dworek myśliwski króla Jana III. przetrwał do dni naszych w tym stanie, w jakim go na załączonéj tu rycinie widzimy.

Stoi on otoczony dokoła staremi lipami, na wyniosłém wybrzeżu, z którego roztacza się piękny i rozległy widok na staw i dalszą okolicę. Zbudowany jest z drzewa i tylko zewnątrz obmurowany. Okna ma wązkie, sklepione, drzwi wchodowe od zachodu, sień wielką, usłaną kamienną posadzką, i kilka izb, w których napróżnobyś już dziś szukał jakichś pamiątek po jego sławnym założycielu.

KONSTANCYA.

Konstancya czyli Kostnica (*Konstantz*, *Kostnitz*), miasto warowne, położone w W. Ks. Badeńskiém, nad jeziorem Kostnickiém, czyli Bodensee, tam gdzie Ren łączy jezioro niższe z wyższém, dosyć obszerne, liczy 7,500 mieszkańców. Znajduje się tu liceum, władza regencyjna, sąd nadworny i znaczna załoga. Niegdyś było to miasto bardzo ważne w państwie Niemieckiém. Biskupstwo tu założone jest jedném z najdawniejszych, a biskup tutejszy był w dawnych czasach księciem niemieckim. Konstancya sławną jest w historyi kościelnéj, z odbycia się w niéj *Soboru* w r. 1414, za panowania cesarza niemieckiego Zygmunta i gorszących sporów o klucze S-go Piotra, aż kilku naraz Papieżów—tudzież ze spalenia, na tymże samym Soborze, w r. 1416, uczonego czeskiego reformatora, Jana Husa. Do pięknych znajdujących się tu pomników architektury zaliczyć można: katedrę i ratusz — którego drzeworyt, w obecnym Numerze naszego pisma, czytelnikom podajemy.

STENOGRAFIJA.

Mowa pisana jest obrazem mowy ustnéj, doskonalić się téż powinna tak, jak się doskonali zdejmowanie obrazów. W wieku naszym niedostatecznym się już okazał rysunek utrwalający widoki przedmiotów, rysy twarzy ludzkich na papierze, potrzeba było wynaleźć fotografję, zdejmującą w jednéj chwili, z całą ścisłością to, na zdjęcie czego rysownik byłby potrzebował dłuższego czasu. Takiéj saméj fotografji żywego słowa uczuto także potrzebę i wymyślono sterografiję.

Wyraz ten pochodzi od dwóch wyrazów greckich *stenos*, ściśle — i *grafein*, pisać. Czém jest nasze pismo zwyczajne w stosunku do hieroglifów starożytności, tém jest stenografija w stosunku do dzisiejszego pisma, choć znaki stenograficzne wyglądają dla widzących je poraz pierwszy, na jakieś zagadkowe hieroglify.

Chociaż już w starożytności używano najrozmaitszych skróceń, ażeby zdążyć pisać tak szybko jak mowa wychodziła z ust mówcy, w naszym jednak dopiero wieku wynaleziona, pod koniec zeszłego stulecia, stenografija, stała się właściwie systemem zdolnym służyć do tego do czego jest przeznaczoną. Zagranicą, w niektórych krajach objęta jest już nawet w programie nauk szkolnych.

U nas pierwszy Kazimierz Krupski wydał teorję stenografji, ta jednak nie okazała się praktyczną. Ogłoszono potém jeszcze kilka innych systemów; i te jednak nie weszły w powszechne użycie. Dopiero systemata pp. Polińskiego i Olewińskiego, osnute na metodzie niemieckiéj Gabelsbergera, zaczęły się upowszechniać i dziś już liczymy dość wielu stenografów, mogących pisywać mowy i rozprawy bądź jednym, bądź drugim z tych systemów.

Mimo to nie wahamy się wyrazić, że sztuka stenografowania jest jeszcze w dzieciństwie, a to z dwóch głównie powodów: raz dla tego, że pismo stenograficzne jest o wiele trudniejszém od zwyczajnego, a powtóre, że żaden system stenograficzny nie jest powszechnym, to jest, nie da się zastosować do wszystkich języków. Nauka stenografji przy nadzwyczajnéj pilności dająca się ukończyć w pół roku najmniéj, jeżeli jéj poświęcać tylko tyle czasu, ile na naukę jednego przedmiotu poświęcać można, trwać musi rok lub dwa lata. Jest to bezwarunkowo zadługo; pismo krótsze łatwiejszém być powinno. Z drugiéj strony, nauczywszy się pismem zwyczajném pisać po polsku, mogę bez osobnéj nauki pisać po francuzku lub po angielsku, zwłaszcza jeżeli znam te języki; jeżeli zaś umiem stenografiję polską, według któregokolwiek systemu, a chciałbym stenografować po francuzku lub po angielsku, musiałbym się zacząć uczyć nanowo i znów na naukę tracić lata całe.

Z tego powodu nie moglibyśmy, choćbyśmy chcieli, podawać w tym artykule, nawet w skróceniu, żadnego z obecnie używanych systemów stenograficznych. A że chcielibyśmy czytelnikom dać wyobrażenie co to jest stenografija i podać sposobność łatwego wykształcenia się w niéj bez nauczyciela, więc im wyłożymy system którego używamy sami, i w którym już dostatecznéj wprawy nabyliśmy, a zatém *z doświadczenia* powiedzieć możemy, że jest praktyczny.

System ten bardzo łatwy i prosty, jest jednak owocem kilkunastoletniéj pracy. Ma on za sobą tę zaletę, że jest bardzo łatwy i że jest powszechny. Jest łatwy, gdyż można się go nauczyć w ciągu dni kilku, a w ciągu dwóch lub trzech miesięcy, pracując po kilka godzin dziennie, można nabrać zupełnéj wprawy i wydążyć mówcom. Jest powszechny, gdyż kto się podług tego systemu nauczy stenografować po polsku, może bez osobnéj nauki, po kilkodniowéj tylko wprawie, stenografować po niemiecku, francuzku, włosku, angielsku, słowem, każdym językiem jaki posiada, byleby tylko ten język używał łacińskiego alfabetu.

Wykład nasz będzie bardzo krótki, w porównaniu do zwykłych wykładów téj bardzo ciekawéj i niezmiernie pożytecznéj nauki.

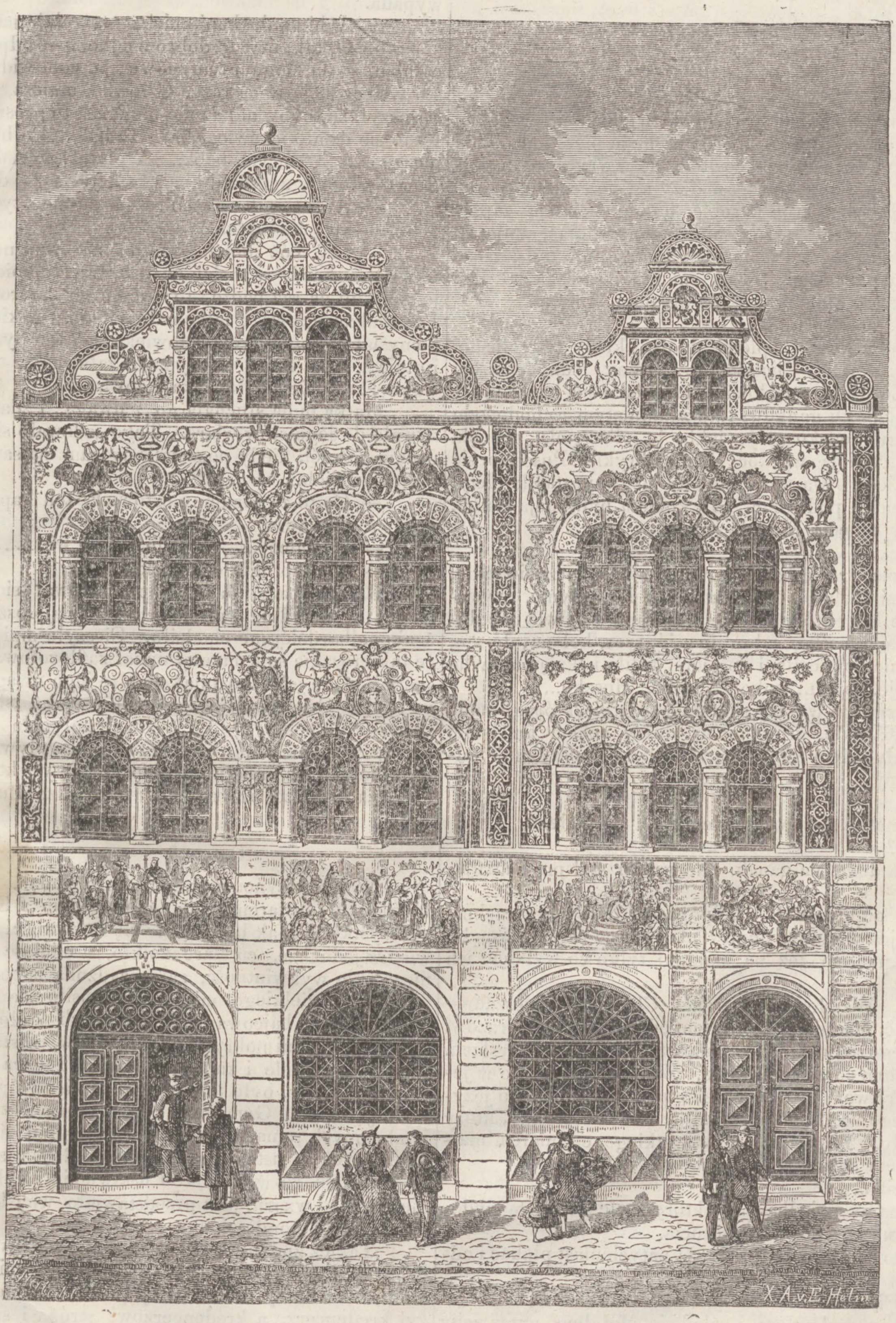
W każdém piśmie, czy to zwyczajném czy stenograficzném, główną rzeczą jest zastosowanie się do pewnych linij. Spód każdéj głoski musi się znajdować na téj linji co spody innych głosek. Tak samo wierzch. Głoski dłuższe, jak *d*, *h*, *f*, *g*, *j*, dochodzić mogą tylko do pewnéj linji. Pochylenie wreszcie każdéj głoski stosować się musi do pewnéj linji, która w druku jest prostopadła, w piśmie pochyła

Inaczéj pismo byłoby nieregularne i nieznośne. Takież same linije istnieć muszą w stenografji. I choć w piśmie zwyczajném po nabyciu wprawy obchodzimy się zwykle bez nich, w stenografji jednak, któréj główną zaletą jest wyraźność, zachowane być powinny.

Papier zatém do stenografji używa się polinijowany, w kratki pochyłe, jak jest pochyłém zwyczajne pismo (fig. 1), lub gdyby takiego papieru nie było pod ręką, używać można papieru pochylonego w kratki prostopadłe (fig. 2). Najlepiéj żeby papier był polinijowany kolorem odmiennym od tego którym piszemy.

W piśmie zwyczajném, każda głoska ma swój oddzielny znak; w stenografji wszystkie głoski oznaczają się jednakowo. Odrazu znika trudność pamiętania jak wygląda *a* a jak *b*. Tutaj każda litera jest kropką albo kółeczkiem maleńkiém.

Jeżeli chcę napisać *p*, to kładę kropkę w punkcie w którym się przecinają nakreślone na papierze linje. Jeżeli chcę napisać *j*, to kładę w tém samém miejscu małe kółeczko. Jeżeli chcę napisać *e*, to kładę kropkę na linji idącéj w szersz papieru, w środku pomiędzy jednem a drugiém przecięciem; a gdybym chciał napisać *ę*, zrobiłbym w tém miejscu kółeczko. Jeżeli chcę napisać dwie litery należące do jednego wyrazu, to od punktu w którym powinienem napisać jednę, prowadzę linijkę prostą albo lekko zagiętą do punktu, w którym powinienem napisać drugą; a jeżeli mam napisać trzy litery to znów od drugiéj prowadzę taką linijkę do trzeciéj.



Ratusz w Konstancyi (Str. 132).

Wiemy już teraz jakbyśmy napisali wyraz *pęj* (fig. 3), możemy więc pójść daléj.

Chcąc napisać *y*, robię kropkę na linji nakreślonéj na papierze cokolwiek nad *p*, a chcąc napisać *x*, robię w tém miejscu kółko. Chcąc napisać *g*, robię kropkę cokolwiek pod *p*, a chcąc napisać *q* robię w tém miejscu kółko.

Widzimy zatém, że każda litera w naszéj stenografji ma swoje miejsce. Tak np. zamiast *v* pisze się kropka nad miejscem w którém jest *e*, a zamiast *w* robi się w tém miejscu kółeczko; za miast robi się kropka pod miejscem w którém jest *e*.

Wiemy już tedy jak się piszą litery: *p, j, e, ę, y, x, g, q, v, w, t*, i możemy z nich składać wyrazy np. *typ, wygę*, francuzkie *vexe*, niemieckie *Wette* i t. p. (fig. 4).

Pójdziemy daléj.

Pomiędzy miejscem na *p* i miejscem na *e*, jest miejsce na *o*, które się oznacza kropką, a jeżeli ma nad sobą jaki znaczek, jak polskie *ó*, albo francuzkie *ô*, lub niemieckie *ö*, to się oznacza kółkiem. Tak samo z drugiéj strony litery *e*, czyli między *e* i *p* jest miejsce na *r*, która się oznacza kropką.

Przybyło nam więcéj liter i możemy pisać więcéj wyrazów, np. *pory, porwę, wyryje, pojęty, pręt*, i t. p. (fig. 5).

Tak samo nad literą *o*, kropka wyrazi *a*, kółeczko *ą*, a pod tą literą kropka będzie znaczyła *s*, kółeczko *ś*; nad literą *r* kropka znaczy *i* a pod literą *r* znaczy *d*.

Brak nam jeszcze kilku liter, ale i te zaraz poznamy. *B* oznacza się kropką cokolwiek wyżéj nad *y*, *k* kółeczkiem w témże miejscu, *m* kropką nad miejscem przeznaczoném na *a*; *n* kropką, a *ń* kółeczkiem nad miejscem przeznaczoném na *v*; *l* kropką a *ł* kółeczkiem nad miejscem przeznaczoném na *i*; *h* kropką a *f* kółeczkiem cokolwiek niżéj pod *g*; *c* kropką a *ć* kółeczkiem pod miejscem przeznaczoném na *s*; *u* kropką pod miejscem przeznaczoném na *t*, *z* kropką, a *ż* albo *ź* kółeczkiem pod miejscem przeznaczonem na *d*. Tym sposobem umiemy całe abecadło i możemy je sobie napisać, pomijając litery z ogonkami lub kreskowane, bo te, jak już widzieliśmy, oznaczają się kółkami w tych miejscach, gdzie litera bez ogonka, albo bez kreski oznacza się kropką. Piszemy więc *a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q, r, s, t, u, v, x, y, z*, (fig. 6).

(*dok. nast.*)

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

(*Dalszy ciąg*).

Widok domu, w którym się urodziłem, widok wsi, w której wyrosłem, woń powietrza, którém dziecinną moję pierś karmiłem, znana fizyognomija tego wszystkiego, co utopione w wieczornym półcieniu, przy wjeździe do Kopystyńca, w oczy mi się rzuciło, poruszyło mnie do łez. Połykałem je w sobie, bo nie śmiałem zapłakać przy Jaksie, który jakby wzruszenie moje szanując, milczał. Byłem mu wdzięczny za to milczenie; ale byłbym mu był jeszcze wdzięczniéjszy, gdyby obecnością swoją mi nie przeszkadzał dać folgi rozrzewnieniu, które mnie na wskróś przejęło.

— Mój tatku!... moja mamo!...

Te wyrazy cisnęły mi się z piersi do ust, kiedy skręciliśmy w bramy naszego podwórza. Chciałbym z bramy jednym susem skoczyć na ganek. Żółwiem wydało się mi toczenie się bryki przez podwórze. Spoglądałem ku gankowi i ku zamkniętym wchodowym drzwiom. Nagle drzwi odskoczyły, jakby je olbrzymia pchnęła z sieni siła. W téj chwili ja wyskoczyłem z bryki. Puściłem się ku gankowi. Ku mnie z otwartemi ramiony biegła postać kobiety. Spotkaliśmy się na środku podwórza. Tą kobietą była moja matka. Porwała mnie w objęcia i oblała łzami.

I ja płakałem.

Radość, szczęście, rozkosz, synowska miłość, uczucie takie, jakiego doznawać musi rozbitek, gdy z fali na ląd spłynie, wyciskały mi z oczu obfite łzy, które lały się potokami i mówić nie dozwalały. Obejmowałem matkę, całowałem jéj ręce, kolana, do nóg się jéj słałem: ona mnie podnosiła i do piersi tuliła i łkając mówiła:

— Dziecko moje... synu... sokole... serce... duszko...

Wymawiała wszystkie wyrazy słodkie, wszystkie, którymi mnie niegdyś pieściła, wszystkie, które mi w duszy echem anielskiéj grały muzyki. Rozpływałem się w upojeniu. Aż o uszy moje odbił się wyraz—straszny:

— Sieroto...

Odepchnąłem matkę, wyprostowałem się i zapytałem:

— Gdzie tatko?

Popatrzyłem na dom, na ganek. Na ganku stał przypatrujący się nam Jaksa.

Matka mi nie odpowiadała. Odpowiedź była niepotrzebną. Sama nieobecność ojca stała za odpowiedź. Serce mi się ścisnęło. Ale łzy oschły. Nie miałem łez na smutek: tylko co wylałem ich tyle z radości.

Matka płakała. Wziąłem ją za rękę. Chciałem pocieszać — chciałem ją uspokajać; lecz nie znajdowałem odpowiednich wyrazów. Postać przypatrującego się nam Jaksy, mięszała mi szyki w myślach. W téj postaci widziałem coś szatańskiego. Zdawało mi się, że w jego oczach wisi szyderstwo. Jego nazwisko plątało mi się po języku, spędzając z niego każdy wyraz czulszy lub rzewniejszy, który serce ustom podawało. Więc zamiast wszystkiego, co miałem matce powiedzieć, wziąłem ją pod rękę i rzekłem:

— Mamy gościa....

To znaczyło: mamy świadka, przy którym nie godzi się wydobywać z głębi serca na jaw skarbów uczucia.

Matka, jakby to zrozumiała, przestała natychmiast płakać i odrzekła:

— Prawda... Pisałeś o nim... Kapitan?...

Zająknąłem się, chrząknąłem i zaledwie zdołałem przez zęby przecisnąć:

— Tak...

— Wszystko dla niego przygotowane.... Będzie miał osobny pokój...—szepnęła matka, gdym ją powoli ku gankowi prowadził.

Gdyśmy weszli, Jaksa nas szarmancko przywitał:

— Przyjmuję państwo jak gospodarz...

— O tak, panie kapitanie...—odrzekła matka. — Ja to powinnam była pana witać, bo gospodarza nie ma..

— Nie zastaliśmy szambelana?...

— Och!.. nie...—odparła matka głosem łez pełnym.

— Umarł mój ojciec...—dodałem.

— Toż się spisał!...—zawołał Jaksa.

Spojrzałem mu w oczy. Snadź w mojém spojrzeniu było coś, co mu nakazywało szanować naszą boleść, bo zamiast właściwych mu drwin, począł prawić komunały, używane zwykle przy pocieszaniu w smutku pogrążonych. Mówił, że śmierć jest koleją, która wszystkich dotyka, że się śmierci wykręcić nie sposób, że wszyscy pomrzemy, że mój ojciec nas tylko wyprzedził, etc. etc. Powiedział nakoniec, że się po śmierci ukochanéj osoby nie smucić, ale cieszyć wypada.

— Ach! panie kapitanie!...—zawołała matka.

— O, tak, mamo dobrodziejko... — odpowiedział, w rękę ją całując. — Ja mogę o tém mówić, ja, com widział tysiąc, co mówię! sto tysięcy śmierci na raz... Człowiek umiera, bo go na to Pan Bóg stworzył... Gdyby ludzie nie umierali, to proszę tylko pomyśleć! coby to się działo na świecie!... Ho ho!... Co by to było starców, do niczego!... A starych bab!... A plotek!... A kłótni!... Ajaj!... Pan Bóg doskonale urządził: kiedyś stary, marsz do grobu!...

— Ależ to tak smutno rozstawać się z tym, z kim się tyle przeżyło!...—wtrąciła matka.

— Ha! cóż robić!.. smutno nie smutno, rozstać się trzeba i kwita... Kiedy w moich oczach, trzech moich rodzonych braci od jednéj kuli na raz padło, to wie mama dobrodziejka, com zrobił?... Pokiwałem głową i fajkę nałożyłem... A kiedym fajkę zakurzył, pomyślałem sobie: życie człowieka, jak ten dym... pośmierdzi trochę i ginie... Czy warto za dymem żałować?... Nie warto... Otóż nie warto i za życiem człowieka żałować...

Matka moja słuchała go z uwagą, i zdawało się, że przywiązywała do jego słów wiarę. Tego „zdawało się“ znalazłem potwierdzenie późniéj, kiedy pozostaliśmy sam na sam z matką, i kiedy ta mi powiedziała:

— Co to za rozumny człowiek, ten kapitan!...—Czy długo on myśli u nas bawić?

— To zależy...—odparłem—nie wiem...

— Bardzo miły człowiek...

Rzeczywiście, Jaksa reprezentował się mojéj matce z takiéj strony, że zrobił na niéj wrażenie jak najlepsze. O to pierwsze wrażenie najbardziéj mi chodziło. Cieszyło mnie to, a jeszcze więcéj, że tak zręcznie sofizmatami umiał zafilozofować jéj smutek. A i mój smutek także jakoś rozbijał się o te jego uwagi o śmierci i poglądy na życie. Gdy się o uszy moje obił wyraz „sierota,“ ledwo mi z bólu serce nie pękło. Od téj chwili upłynęło nie więcéj jak godzina czasu; zasiedliśmy do wieczerzy i pod wpływem rozumowań Jaksy, rozwinął się we mnie jak najlepszy apetyt, który już miałem, jeżeli nie nazawsze, to przynajmniéj na bardzo długo, za stracony.

* * *

W Kopystyńcu zastałem dużo zmian. Nazewnątrz wszystko wyglądało postaremu tak, że mógłbym z Karpińskim powiedzieć: „Wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło.“ Wewnątrz jednakże, co stare znikło, a miejsce jego zastąpiła pewna niezwykła wykwintność, zaprowadzona zapewne na instancję mego powrotu z wielkiego miasta. Odnosiło się to szczególnie do mebli. Zamiast bajcowanych dębowych stołów, drewnianych stołków i kilimkami pokrytych tapczanów, zastałem politurowane stoły, krzesła, fotele i kanapy. Miejsce zegara z kukułką, wygrywającego kuranty, było próżne. Gdzie niegdyś wisiały sztychy, przedstawiające życie Genowefy, tam zawieszono zwierciadła i litografije w złoconych ramach. Okna przysłonięto firankami. Pod oknami na etażerkach ustawiono wazony. Gdym się temu przypatrywał, dostrzegłem, że w doborze i ustawieniu mebli i ozdób, trzymano się niewolniczo wzoru, jaki przedstawiało wiejskie, sąsiadującego z nami hrabiego, pomieszkanie.

Takież zmiany zaszły i z usługą. Dawniéj do stołu służyła dziewka, która przyniesione z kuchni półmiski stawiała na środku stołu; teraz służył lokaj, który półmiski obnosił. Lokajowi zaś służył kredencerz, a kredencerzowi stróż, i stróż służył wszystkim. Matka miała klucznicę i pannę służącą, kucharza i kuchtę, a klucznica miała pod sobą dojarki, kawiarki, praczki i dziewki piekarniane, a panna służąca szwaczki i haftarki, a kucharz kuchtę, a kuchta kuchcika. Był przytém ogrodnik i ogrodniczek, był furman i kozacy stajenni. A po nad służbą stali oficyaliści: ekonom, pisarz tokowy, pisarz prowentowy, pisarz ekonomiczny, pisarczyk, leśniczy i pobereżniczy.

Gdym przyjechał, natychmiast gruchnęła wieść o „młodym panu“ i nazajutrz sprezentował się mi cały służbowy personał. Ofi-

cyaliści kłaniali się mi nizko i swoje usługi zalecali i o rozkazy pytali. Poznałem że jestem panem — że mogę rozporządzać, rozkazywać. Moje państwo nadzwyczajnie mnie ambarasowało. Na wszelkie zapytania odpowiadałem:

— Niech no się rozpatrzę... Zobaczę...

— Wielmożny pan zmęczony być musi podróżą... — mówił ekonom.

Przyszła gromada z chlebem i solą i z prezentami w drobiu, jajach i kołaczach. Przewodniczyli jéj najpoważniejsi gospodarze, z których jeden wystąpił do mnie z przemową i opowiadał, jak to kiedy byłem mały, rosłem pomiędzy nimi i z ich dziećmi kopce z kurzu sypałem.

Byłem wzruszony, rozrzewniony. Mówiłem do nich:

— Moi kochani... moi drodzy...

Kobiety dogadywały z daleka:

— Weźcie sobie piękną i dobrą panią...

Matka moja kazała wynieść stół białym nakryty obrusem, a na stół wódkę i zakąskę. Wypiłem za zdrowie i pomyślność gromady. Gromada piła za zdrowie moje, mojéj przyszłéj żony i moich—jeżeli Pan Bóg da doczekać—dzieci.

O! w złą snadź godzinę składała swoje życzenia...

Po odejściu gromady przyszedł arendarz z hamowaném uchem i makagigami, przyniesionemi na czerwoną chustką przykrytéj tacy.

Wszystkie te pozdrowienia odbyły się tak rano, że Jaksa jeszcze spał. Nie miałem więc świadka któryby mnie był żenował. Pozostała nawet jeszcze chwilka czasu do pomówienia z matką, od któréj dowiedziałem się w ogólnych wyrazach o stanie interesów.

Nieboszczyk ojciec mój był gospodarny i oszczędny, i miał kapitały w gotówce, ulokowane częścią u jednego z możnych panów, częścią na kahale, a częścią leżące w szkatule. Chciał za nie nabyć majątek w ziemi, lecz zwlekał, bo czekał na moję pełnoletność, ażeby się ze mną w téj mierze poradzić. Z części w szkatule dużo nadszarpnęła moja edukacya; jednakże zostawało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy złotych.

— To wszystko teraz twoje—ciągnęła matka — Ojciec testamentem zostawił dla mnie dożywocie dochodów, ale ja się tego zrzekam... Póki się nie ożenisz, będę ci prowadziła gospodarstwo kobiece, a jak się ożenisz, to mnie nie wypędzisz: będę moje wnuki niańczyła...

Ucałowałem matczyną rękę i powiedziałem, że gospodarstwa prowadzić nie umiem.

— Nauczysz się!... Czy to tak trudno?... Rozpatrz się tylko, rozpytaj ludzi... Przy twoim ojcu wszystko szło jak w zegarku... Trzeba tylko pilnować, ażeby się nie popsuło... O! jakaż ja kontenta, żeś już nareszcie przyjechał... Ten Paryż bardzo mnie zmartwił. I nieboszczyk się był zmartwił...

— E, mamo, dajmy temy pokój...—odrzekłem.

W téj chwili Paryż wywietrzał mi był z myśli. Jakże bowiem mógłby się on w niéj ostać, w obec takich okazów miłości i przywiązania, jakimi mnie tego poranka otoczono!... Miałem go za fałszywy dźwięk, który przebrzmiał bez echa. Zapomniałém, że echo tego dźwięku śpi w postaci Jaksy. Przypomniała mi o nim matka.

— Coś nasz kapitan wysypia się po podróży...

Dochodziła ósma.

— Dzień dobry państwu...—odezwał się nagle głos we drzwiach od przyległego pokoju i wraz z głosem ukazał się, wystrojony w szamerowania i sznury, pseudo-kapitan.

— Jakże się panu kapitanowi spało?...—zapytała matka.

— Jak na wsi, mamo dobrodziejko...

— Taki był przez cały ranek gwar!... Bałam się, żeby się pan dobrodziéj nie zbudził...

— Ba! co mi tam gwar!... Pod Lipskiem dziesięć tysięcy harmat strzelało, a ja spał...

— Mój Boże!... pod Lipskiem!...—zawołała matka...

(d. c. n.)

WIĄZANKA.

Pominąwszy milczeniem sprawozdanie o wybrykach pierwszych dni wiosny, o przebijającéj się zieloności drzew i trawników, o spacerach i katarach wiosennych, o sprzedawanych po ulicach fijołkach, o krzątaniu się gospodarzy i ogrodników, o Brukselskich modach i tym podobnych przyjemnościach i nieprzyjemnościach — przejdziemy odrazu do rzeczy nader ważnéj, niebyłéj, nowéj a wielce pożytecznéj i koniecznéj dla miasta Warszawy. Pan Bronisław Korpaczewski, Magister Filozofji, wychowaniec b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, otworzył w tych dniach, na Krakowskiém Przedmieściu, wprost Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, *Kantor Informacyjno-komisowy*, zadaniem którego jest, obok wielu innych czynności, *wyszukiwanie i niesienie pracy potrzebującym jéj rozpaczliwie*, a przedewszystkiem *załatwianie zleceń i usług pogrzebowych*. Ktoś drażliwo-nerwowy może się odezwie:—A to szczególna... kantor pogrzebów! — Tak jest. Kantor taki uważamy za bardzo potrzebny. Naprzykład. Przyjeżdża ktoś do Warszawy, staje sam jeden w hotelu i umiera. Pogrzebem nie ma się kto zająć —rządca kotelu zawiadamia Kantor i smutna ta czynność odbywa się w największym porządku, takcie i nieposzlakowanéj sumienności. Familija przyjeżdża, a w miejsce nużącego załatwiania niemiłych formalności u rozmaitych osób i interesantów, załatwia się z jednym tylko Kantorem, płacąc mu za wszystkie wydatki podany sobie szczegółowy rachunek. To prawdziwe dobrodziejstwo. Tak samo rzecz się ma i ze stałymi mieszkańcami Warszawy. Ktoś np. dotknięty stratą ukochanéj osoby, traci głowę i niezdolny jest nic praktycznego nawet pomyśleć. Aby się więc uwolnić od przykrych w takim razie targów i tym podobnych a drażliwych i zmudnych okoliczności, idzie tylko do Kantoru, zamawia taki a taki pogrzeb, z takiemi a takiemi potrzebami—płaci—i ułatwiwszy się w przeciągu pół godziny, zamiast dwóch dni — najswobodniéj oddaje się boleści i żalowi, będąc pewnym, że Kantor urządzi wszystko co do niego należy — począwszy od zakupienia trumny, a skończywszy na obsłudze i kondukcie pogrzebowym. Kantory takie istnieją już zagranicą i szczycą się zupełném zaufaniem publiczności. Spodziewam się więc, że i Warszawa nie odmówi go panu Korpaczewskiemu, który ze swéj strony daje wszelkie rękojmie uczciwości i sumienności.

Kuryjer Świąteczny proponuje, czyby się nie dało, na wzór *Stowarzyszenia Stolarzy Warszawskich*, zawiązać *Stowarzyszania Redaktorów?* Prześwietny Kuryjerze, czy o drogę pytasz?... Gotlieb prawdę mówi, przypatrując się dzisiejszéj bratobójczéj wojnie we Francyi: — Oj, glupia Francuza glupia! Tenże sam Gotlieb, a słyszałem to na własne uszy, widząc zajadłe obecnie walki niektórych naszych pism peryodycznych, zawołał na całe gardło:—Oj, glupia literata, glupia! I co tu mówić, w podobném położeniu rzeczy, o zawiązaniu się Stowarzyszenia?... A cóż się dzieje ze *Stowarzyszeniem wzajemnéj pomocy literatów warszawskich*, którego utworzenie tak nam solennie *obiecywały* niektóre osoby? Cóż się stało z tymi dobrymi zamiarami, z temi pięknemi chęciami i szumnemi słowami?

Cicho wszędzie—głucho wszędzie,
Co to będzie—co to będzie?...

Wprawdzie, po długiém oczekiwaniu, wypracował nareszcie w tych dniach p. F. H. Lewestam, członek Redakcyi *Kłosów*, ustawę dla rzeczonego a dopiero zawiązać się kiedyś mającego Stowarzyszenia; ale dopókiż będziemy wzdychali za urzeczywistnieniem się jego? Jak długo ta ustawa będzie się musiała *odleżeć*, zanim ją w czynie zobaczymy? Czy czasem nie zechce się Komitetowi poczekać, aż znów umrze jakiś ofiarodawca, razem z 10,000 rubli? Czyż mamy wyglądać téj chwili gdzie nam same pióra z drżących powypadają rąk, a dobroczynność miejska przymuszoną będzie karmić nas, żony i dzieci nasze, jałmużną i bezpłatnymi pogrzebami, aż znudzona zagrzmi nam nakoniec jak piorun: precz z tym proletaryatem, co śmie uczyć wszystkich, a sam nie ma na starość chleba i ciepłego dachu! Panowie, duchy Klonowicza, Malczewskiego, Syrokomli i Kamińskiego wołają na nas: prędzéj! prędzéj! Dziwna doprawdy, dla czego np. po Redakcyach pism Warszawskich i ich kantorach, widzimy massę pracujących osobistości najrozmaitszych zajęć i powołań, a najmniéj biednych i potrzebujących literatów? Dla czego np. były urzędnik, były subjekt, zdolnym i potrzebnym jest do ekspedycyi, do przepisywania u Redaktora lub Wydawcy, a autor, człowiek który myśl przelewa na papier, który utworami swymi zasila i jednego i drugiego — nie może tam znaleźć stałego miejsca i musi albo pracować piórem nad siły—albo umierać? Dla czego?.. Oj, Gotlieb prawdę mówi!

Dla rozrywki ducha przejdźmy do *Teatru.*

Dnia 15 b. m. przedstawiono na scenie Teatru Wielkiego, dramat pani Birch Pfeiffer p. t. *Poczwarka*, przerobiony z powieści pani George Sand. *Poczwarka*, wiejska dziewczyna, wychowana na pustkowiu w Bretanii, przez babkę Fadet, uchodzącą za czarownicę, kocha wzajemną miłością Landrego syna Barbeauda. Lecz Barbeau i Fadet nienawidzą się — a nienawiść ta właśnie stanowi tło powyższego dramatu. Bezwątpienia, rzecz ta opisana w powieści pani Sand, jest więcéj zajmującą, niż w przeróbce pani Pfeiffer, ale żeby można coś zarzucić grze panny Romany Popiel, jak to niektórzy sprawozdawcy uczynili, przedstawiającéj z całą naturalnością i prawdą Poczwarkę—na to się nie piszemy, bo panna Popielówna grała swą rolę tak, że nie pozostaje nic do życzenia, jak chyba tylko—pragnienie posiadania u nas więcéj pobobnych artystek.

Donoszą nam z Kalisza, iż tamże, pod kierunkiem p. Cybulskiego, danych było kilka przedstawień teatralnych, a niedługo spodziewane jest także towarzystwo dramatyczne z Poznania, zarządane przez p. Lecha Nowakowskiego.

J. Narzymski napisał nową komedyą p. t. *Pan prezydent miasta w kłopotach.*

Dnia 23 b. m. na korzyść niezamożnych studentów tutejszego Uniwersytetu, odbyło się powtórne przedstawienie obrazów *Wandy* Deotymy.

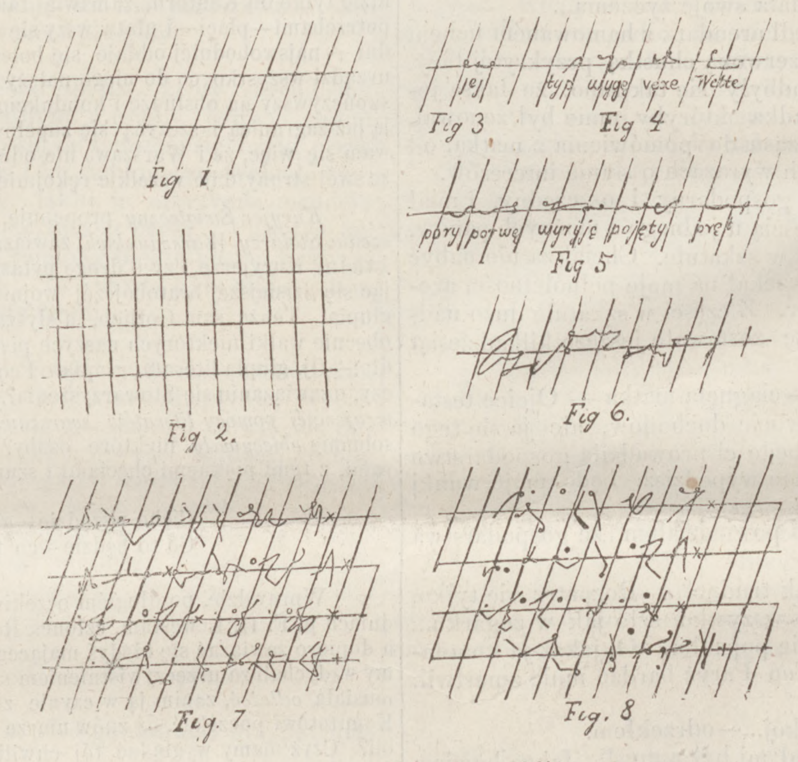
Warszawskie Towarzystwo Muzyczne rozwija się pomyślnie i coraz bardziéj wzrasta w liczbę członków. Dnia 19 b. m. staraniem tegoż Towarzystwa, danym był w Salach Redutowych świetny koncert, zasługa którego spada przedewszystkiém na p. Zarzyckiego, a następnie na przyjmujących w nim wybitny udział: pannę H. Troszel, oraz pp. Górskiego, Strobla i Goebelta.

Dnia 26 marca r. b. odbył się w Petrokowie amatorski wieczór muzyczno-dramatyczny, na korzyść biednych uczniów tamtejszego gimnazium. —W Mińsku powiatowym d. 31 marca, urządzono amatorski koncert, mający się podobno jeszcze raz powtórzyć, na korzyść szpitala w Mieni.

D. 15 b. m. odbył się w Salach Resursy Kupieckiéj, koncert, urozmaicony deklamacyą J. Królikowskiego, na rzecz niezamożnych studentów Warszawskiego Uniwersytetu.

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam tu wykazać znakomite owoce działalności *Warszawskiego Konserwatoryum Muzycznego*, czerpane z urzędowego sprawozdania, a tyczące się ilości wykwalifikowanych i rozmieszczonych jego wychowańców—mianowicie: w orkiestrze teatralnéj warszawskiéj, osób 12,—w chórach opery Wielkiego teatru, osób 9, — w szkołach rządowych, osób 10,—w Konserwatoryum Warsz., osób 7,— na posadach organistów, osób 28,—w kantorze synagogi, osoba 1, — pierwszy skrzypek w orkiestrze Teatr. Warsz. (Władysław Górski) 1, — profesor w Konserwatoryum Berlińskiém (A. Stolpe) 1, — pierwszy skrzypek w orkiestrze miejskiéj w Orle 1,—otrzymało patenta z ukończenia Konserwatoryum osób 164. Otrzymało świadectwa kwalifikacyjne na nauczycieli muzyki osób 168. Nadto p. Gustaw Jankiewicz, laureat tutejszego Konserwatoryum, został, po złożonym egzaminie, z pomiędzy 25 ubiegających się, powołanym na dyrektora muzyki i organistę w kościele katedralnym w Gdańsku, i mianowany prócz tego dyrektorem w Orchester-Verein, z oddzielną płacą 200 talarów rocznie.

Na *Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych* przybyły następujące nowości: obrazy — Murzynowskiego, *Portret*; Swieszewskiego, *Pokój i wojna*; Ruśkiewicza, *Chełmska góra pod Przedborzem i stara plebanija*; Wastkowskiego, *Krajobraz*; A. Strzałeckiego, *Odpoczynek w podróży*; Brodowskiego, *Książę Karól Radziwił*. Syrewicza, *Mojżesz*, z marmuru — i Steinmana gwa portrety medaliony z gipsu, z fotografji.



Stenografija (Str. 132).

Na polu literackiém godne są zanotowania utwory:

Odgłosy z gór, poezye *Felicjana*, ofiarowane Teofilowi Lenartowiczowi.—*Dzieje Filozofji starożytnéj*, D-ra Laforet'a, z oryginału francuzkiego przełożył D-r Władysław Miłkowski. Zeszyt I, tomu pierwszego. Całe dzieło składać się będzie z 2-ch tomów in 8-o.

Zasady pszczolnictwa, ułożył i wydał Jan Ramoszyński.

Wyszedł zeszyt IV. Muzeum Sztuki Europejskiéj.

Sen Scypiona (M. Tullii Ciceronis), z łacińskiego przełożył i uwagami objaśnił, oraz poglądem historycznym na rozwój filozofji rzymskiéj uzupełnił, H. Sadowski. Rzecz opracowana pilnie i ze znajomością.

Nakładem wydawnictwa *M. Dzikowskiego*, wyszedł romans Walerego Przyborowskiego, autora Hindy, p. t. *Życie za marzenie*. Powieść krótka, ale czyta się z zajęciem, bo napisana jest z talentem. Pragnęlibyśmy tylko w niéj widzieć więcéj wybitnych charakterów.

Z marcowego zeszytu Pamiętnika Towarzystwa Lekars. Warsz. dowiadujemy się, iż w ciągu całego r. 1869, do domu podrzutków w Szpitalu Dzieciątka Jezus, przybyło niemowląt 3146. Z tych zachorowało 1634, a z téj liczby zmarło 729.

P. Zygmunt Zanożyński wydaje przekład *Anatomji porównawczéj* D-ra P. J. Van Beneden'a, profesora Zoologji i Anatomji porównawczéj w uniwersytecie w Louvain.

Wyszedł z druku *Pamiętnik Teatrów Warszawskich za r. 1870*, przez p. St. Goślickiego.

W Radomiu wychodzić ma nowe pismo literackie, popularno-naukowe i polityczne p. t. *Wisła*, redaktorem którego będzie p. J. Rogojski, a wydawcą p. Jan Trzebiński.

W d. 24 b. m. przypadła stuletnia rocznica urodzin Samuela Bogumiła Lindego, autora *Słownika języka polskiego*, dzieła olbrzymiéj pracy i nauki. S. B. Linde urodził się 1771 r. w Toruniu.

N. N. Niekrasow, napisał piękną gawędę p. t. *Dieduszka*.

Salmonow, powieściopisarz rosyjski, wydał w Petersburgu socyalny romans: *Dziecię*.—

Milisavljewicz i Valožicz w Belgradzie, wydają zbiór pieśni serbsko-chorwackich.—

P. Adolf Bogucki wydał w Warszawie, *Regulamin jedwabnictwa*.—

Z d. 1 Kwietnia wychodzi we Lwowie, pod redakcyą Piotra Zbrożka, dwutygodnik p. t. *Rękodzielnik*.

Aleks. Wejnert wydał: *Zabytki dawnych urządzeń sądowych miasta Warszawy*.

We Lwowie J. Trzywdar (Tretiakow) wydał poemat, *Królewska para*, osnuty na dziejach Barbary Radziwiłłówny.

P. Gust. Ehrenberg w Krakowie, wydaje przekład *Powieści zimowéj* Szekspira, i studium p. t. *Wykład bajek Krasickiego*.

P. M. Forelle w Warszawie, wydał rozprawę, *O kalendarzu żydowskim i jego porównaniu z chrześcijańskim*.

P. Wanda Grabowska, przetłumaczyła studium Gerwinusa o Szekspirze.

Mirosław Dobrzański wydaje w oddzielnéj broszurce swoje poezye, p. t. *Próbne akordy*.

Historyk Palacky dał inicyatywę do wydawnictwa w języku łacińskim: *Fontes rerum bohemicarum*. (Źródła do dziejów czeskich).

W Krakowie ma wychodzić dwutygodnik humorystyczny pod tytułem *Coś*.

Matejko maluje obraz, odnoszący się do uczczenia pamięci Kopernika.

Wład. Tarnowski poeta i fortepianista, przełożył na język polski *Instrumentacyą* Berlioza.

Towarzystwo Naukowe Krak. wyznaczyło komitet dla przedsięwzięcia gruntownéj restauracyi grobów, monumentów i trumien królewskich na Wawelu.

Malarz Gierymski z Monachium, posłał do Londynu na wystawę obraz, który znawcy cenią bardzo wysoko.

P. J. Bloch, bankier w Warszawie, przeznaczył 1800 rs., mające się przez niego corocznie odbierać przez lat 15 ze sklepów pod Bernardynami, na założenie kasy pożyczkowéj, dla studentów Warsz. Uniwersytetu.

Podczas uroczystości ś-go Jana Nepomucena, ma odbyć się w Pradze, wielka czesko-słowiańska uroczystość.

W Wiedniu, Słowianie południowi zakładają *Omladinę*, Towarzystwo dla zabawy, kształcenia i wspierania ziomków przybywających do téj stolicy.

Zmarli:

Leon Zienkowicz, piszący pod pseudonymem Lacha z Lachów, w Paryżu.

Ludwik Reiszel, nadzorca więzienia w Łęczycy, autor bajek i przypowiastek dla dzieci, poleconych nawet niegdyś przez Radę wychowania do użytku szkół publicznych. Urodził się w Mniszewie, powiecie Radomskim, z ojca Józefa i matki Józefy z Szubertów, d. 25 kwietnia 1805 r. Zmarł w d. 18 marca r. b.

Dr. Oppolzer, europejskiéj sławy, w Wiedniu d. 16 kwietnia, w wieku lat 63.

Piotr Leroux, znany filozof-socyalista francuzki, w Paryżu d. 11-go kwietnia, urodzony 1798 r.

Mikołaj Krol, rosyjski literat, w Petersburgu, lat 49.

S. J. Smaragdow, w Kobryniu (gub. Wileńska), autor używanéj w szkołach historyi powszechnéj.

Δ

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 12 (24) Апрѣля 1871 г. — Redaktor, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.